

ALEKSANDRA

MARININA

gra
na cudzym
boisku

Aleksandra Marinina (ur. 1957 we Lwowie) mieszkała w Leningradzie, potem przeniosła się do Moskwy; tam ukończyła szkołę muzyczną oraz wydział prawa. Po studiach rozpoczęła pracę w milicji, gdzie zajmowała się badaniami w dziedzinie kryminologii. W 1992 roku ukazała się jej pierwsza książka z cyklu powieści o major Anastazji Kamieńskiej, *Kolacja z zabójcą*. W 1998 roku Marinina odeszła z milicji i zajęła się wyłącznie pracą literacką. Do dziś jej książki – przetłumaczone m.in. na włoski, francuski, niemiecki, szwedzki, a także chiński, japoński i koreański – osiągnęły łączny nakład ponad trzydziestu milionów egzemplarzy. Cykl o major Kamieńskiej doczekał się także ekranizacji przez rosyjską telewizję NTW. Nakładem Wydawnictwa W.A.B. ukazało się dotychczas sześć powieści z tej serii: *Ukradziony sen* (2004), *Męskie gry* (2004), *Śmierć i trochę miłości* (2005), *Gra na cudzym boisku* (2005), *Złowroga pętla* (2006) i *Kolacja z zabójcą* (2007). W przygotowaniu kolejna – *Zabójca mimo woli*.

ALEKSANDRA

MARININA

gra
na cudzym
boisku



w serii ukazały się:

Marek Krajewski *Koniec świata w Breslau*

Henning Mankell *Fałszywy trop*

Henning Mankell *Morderca bez twarzy*

Henning Mankell *Piąta kobieta*

Henning Mankell *Biała Iwica*

Aleksandra Marinina *Ukradziony sen*

Aleksandra Marinina *Męskie gry*

Aleksandra Marinina *Śmierć i trochę miłości*

Joanna Szymczyk *Ewa i złoty kot*

ALEKSANDRA

MARININA
gra
na cudzym
boisku

przełożyła EWA ROJEWSKA-OLEJARCZUK

Tytuł oryginalny: *Игра на чужом поле*

Copyright © by A. Marinina, 1993

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2005

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2005

Wydanie I
Warszawa 2007

PROLOG

Miesiąc przed dniem pierwszym

Atak zbliżał się nieubłaganie, jego symptomy Jurij Fiodorowicz czuł już wczoraj wieczorem, ale liczył na uzdrawiające działanie snu. Niestety, sen nie pomógł. Następnego dnia Jurij Fiodorowicz kilkakrotnie przyłapywał się na tym, że każdą rozmowę z uczniami próbuje sprowadzić na temat „rodzice i dzieci”, a dokładniej – „matka i syn”. Kolejne stadium nadeszło po obiedzie, kiedy najbliższa wzmianka o rodzicach, a zwłaszcza o matkach, wywoływała u niego fizycznie odczuwalne chorobliwe rozdrażnienie i Marcew z trudem się powstrzymywał, by nie przerwać rozmówcy, nie powiedzieć czegoś niegrzecznego, nie podnieść głosu. I oto teraz, pod koniec dnia pracy, zrozumiał, że atak jest nieunikniony, że Juroczka się „obudził” i lada chwila wrzaśnie na całe gardło.

Marcew podniósł słuchawkę.

– Galino Grigorjewno, czy moglibyśmy przełożyć naszą rozmowę na jutro? Źle się czuję, chciałbym pójść się położyć.

– Naturalnie, Juriju Fiodorowiczu – odpowiedziała skwapliwie nauczycielka matematyki. – Skoro przez sześć

lat nie mogliśmy sobie poradzić z Kuźminem, to jeden dzień nas nie zbawi. Życzę zdrowia.

- Dziękuję.

Tak, z Kuźminem były problemy. Skarżyli się na niego wszyscy nauczyciele. Wadik Kuźmin, prymus, nigdy nie dawał powodów do usunięcia go ze szkoły za brak postępów w nauce. Za to we wszelkich innych kwestiach, od zachowania na lekcjach do aroganckich i ordynarnych wyskoków poza szkołą, był prawdziwą zakałą, nigdy jednak nie przekraczając granicy, poza którą automatycznie czekałoby go śledztwo i sąd. Jak bowiem wiadomo, za obrazę i oszczerstwo można postawić winnego przed sądem tylko na wniosek poszkodowanego. W dodatku kary za te przestępstwa podlegają jedynie osoby pełnoletnie. „Jutro – myślał Marcew, nerwowo zapinając płaszcz. – Nad tym wszystkim zastanowimy się jutro. Dziś najważniejszy jest Juroczka. Trzeba go nakarmić, przewinać, ukołysać do snu. Byle tylko nie doszło do nieszczęścia!”

Jurij Fiodorowicz Marcew był chory od dawna i nieuleczalnie. Co prawda, wiedział o tym tylko on sam. No, może jeszcze trzy osoby, ale ich zdanie Marcewa nie interesowało. Dla pozostałych był szanowanym dyrektorem prestiżowej szkoły z wykładowym angielskim, nauczycielem literatury angielskiej i amerykańskiej. Dla swej żony – dobrym mężem, dla córki – „pedagogicznie poprawnym”, choć nieco staroświeckim ojcem. Dla mamy zaś był Juroczką, Jurasikiem, Jurusiem, ukochanym, jedynym syneczkiem, doprowadzonym do rozpaczycy jej rodzicielską miłością.

Marcew pojechał do mieszkania, które w tajemnicy przed rodziną wynajmował za dość umiarkowaną opłatę: mieszkanie było malutkie, dawno nieodnawiane, prawie bez mebli, i znajdowało się na skraju Miasta. Czasem Jurij Fiodorowicz przyprawdzał tu kobiety, ale ten azył

przeznaczony był przede wszystkim do leczenia, którego w ostatnich czasach potrzebował coraz częściej.

Wszedł do przedpokoju i szybko się rozebrał. Ręce drżały mu tak, że nie mógł nawet powiesić płaszcza na wieszaku, i rozdrażniony rzucił go na krzesło. Juroczka natarczywie wydierał się na swobodę, przepelniała go nienawiść do matki i przemożne pragnienie natychmiastowego jej zabicia. „Zaraz, zaraz, kochany – mamrotał Jurij Fiodorowicz – zaraz się uspokoisz, wytrzymaj jeszcze minutkę, jeszcze jedną sekundeczkę...”

Poruszał się niemal automatycznie, wyjmując ze skrytki kasety, wkładając ją do magnetowidu i przysuwając fotel bliżej telewizora.

Przy pierwszych znajomych scenach, jakie ukazały się na ekranie, zrobiło mu się jakby nieco lżej, zauważył jednak, że muzyka, dawniej działająca niezawodnie, tym razem działa słabiej. Przeląkł się nawet, że lekarstwo utraciło swą moc, jednak po kilku minutach wszystko powróciło do normy. Na ekranie ukazała się piękna twarz matki, taka, jaką była trzydzieści pięć lat temu, kiedy Marcew miał zaledwie osiem lat. Matka chodziła po pokoju, rozstawiała filiżanki, nalewała herbatę, potem wyciągnęła rękę i wzięła dzienniczek szkolny Juroczki. Marcew nie widział siebie na ekranie, ale wiedział, że siedzi przy stole naprzeciw matki i czeka przerażony, kiedy ta otworzy dzienniczek na stronie z długim, napisanym czerwonym atramentem listem od nauczycielki. Teraz mama go czyta, marszczy brwi, jej usta krzywią się pogardliwie, twarz robi się lodowata. Na stole między czajnikiem a koszyczkiem z pieczywem leży duży nóż. „Nienawidzę jej! Boję się i nienawidzę! Zaraz ją zabiję!” Juroczka wyrwał się na zewnątrz, Marcew nie powstrzymywał go dłużej, obserwując zafascynowany, jak mały potwór zaspokaja swoje pragnienie. Dziecko przymila się do matki, prosi o przebaczenie i obiecuje „więcej tego nie robić”. Twarz

matki łagodnieje, kobieta jest gotowa wybaczyć ukochanemu dziecięciu i nie widzi noża, który chłopiec chowa za plecami.

Zbliżenie – na całym ekranie piękna, długa szyja, błyszczące ostrze noża i krew. Dużo krwi. Bardzo dużo... Koniec. Katharsis. Marcew pamiętał wyraźnie ciepłą krew, spływającą strumieniem po jego ręce. To wrażenie powracało za każdym razem, gdy oglądał film, i ostatecznie przekonywało Juroczkę, że wreszcie to o zrobił. Teraz małaletni morderca związał się w kłębuszek, zasypiał i spał słodko do następnego razu.

Marcew odchylił się bezsilnie na oparcie fotela. Tym razem chyba sobie poradził. Ale poczucie wyswobodzenia nie było dziś takie jak przedtem. Juroczka chyba nie zasnęła, tylko zapadł w lekką drzemkę. Marcew uświadomił sobie, że przerwy między atakami robią się coraz krótsze. Dawniej Juroczka budził się co dwa, trzy lata, potem – raz do roku, a od poprzedniego ataku do dziś minęły zaledwie cztery miesiące. Choroba się nasilała. Marcew zdawał sobie z tego sprawę. Cóż, pomyślał, to znaczy, że potrzebne jest nowe lekarstwo. Wiedział, jakie powinno być. Już jutro się tym zajmie.

ROZDZIAŁ 1

Dzień pierwszy, dzień drugi

„Jestem emocjonalnym potworem, pozbawionym normalnych ludzkich uczuć” – myślała z rezygnacją Nastia Kamińska, pilnie pokonując na bieżni zapisane przez lekarza kilometry. Po raz pierwszy w życiu znalazła się w sanatorium i postanowiła zatroszczyć się o swoje zdrowie „w pełnym zakresie”, tym bardziej że warunki w „Dolinie” były wręcz luksusowe.

Oczywiście, nigdy by się nie dostała do tego prestiżowego sanatorium, gdyby sama organizowała swój urlop. W najlepszym razie, jako pracownikowi Moskiewskiego Wydziału Kryminalnego, zaproponowano by jej skierowanie do resortowego sanatorium bez basenu, z regularnymi wyłączeniami ciepłej wody.

Nastia, obojętna na uroki natury, spędzała urlopy w Moskwie na tłumaczeniu książek z angielskiego i francuskiego, co, z jednej strony, pozwalało jej podreperować finanse, a z drugiej – odświeżyć znajomość języków. W tym roku urlop miała przewidziany na sierpień, ale Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew, czule zwany przez podwładnych Pączkiem, poprosił Nastię, by zamieniła się z kolegą, któremu nagle zmarła żona.

– Wiesz przecież, Anastazjo, że powinien mieć urlop wtedy, kiedy w szkole są wakacje. A tobie bez różnicy – sierpień czy październik, i tak tkwisz w Moskwie. Słuchaj no, chcesz, to ci załatwię dobre sanatorium.

– Chcę – nieoczekiwanie dla siebie samej powiedziała Nastia. Kłopotów ze zdrowiem miała co niemiara, ale nigdy się tym na serio nie zajmowała.

Teść Gordiejewa, profesor Woroncow, był szefem dużego centrum kardiologicznego i z jego pomocą Wiktor Aleksiejewicz wysłał Nastię do „Doliny”. Było to istotnie świetne sanatorium, które w dawnych czasach należało do Wydziału IV Ministerstwa Zdrowia i z absolutnie niepojętych przyczyn nie podupadło w epoce reform. Koszt skierowania był jednak taki, że przed Nastią stanęły nowe problemy. Załatać dziurę w budżecie mogła pod warunkiem, że zabierze ze sobą tłumaczenie i będzie pracować w czasie urlopu. W tym celu jednak musiałaby wziąć też słowniki i maszynę do pisania, a poza tym dostać pokój jednoosobowy. Nawet przy minimum rzeczy torba ze słownikami i maszyną ważyłaby tyle, że Nastia miałaby zagwarantowany urlop w pozycji horyzontalnej – po nie-

fortunnym upadku w czasie gołoledzi absolutnie nie mogła dźwigać ciężarów, bo później dokuczały jej silne bóle w krzyżu.

– Głowa do góry, Anastazjo. – Pączek mrugnął do niej, kiedy zwierzyła mu się ze swych obaw. – Zaraz zadzwonimy do tamtejszego szefa wydziału kryminalnego i poprosimy go, żeby wszystko zorganizował.

Wiktor Aleksiejewicz przekartkował notes i zaczął wybierać numer.

– Siergiej Michajłowicz? Witam, tu Gordiejew z Moskwy. Pamiętasz mnie jeszcze?

Nastia nie liczyła zbyt na pomoc miejscowej milicji, wiedząc, że takie prośby są zawsze kłopotliwe i odrywają od pracy.

Uważnie obserwowała szefa, usiłując z intonacji głosu i wyrazu jego twarzy odgadnąć odpowiedzi niewidocznego Siergieja Michajłowicza.

– ...Jedzie do was do „Doliny”, żeby podleczyć kręgosłup. Nie może dźwigać nic ciężkiego, dlatego proszę o pomoc.

(– Nie ma sprawy, załatwione.)

– A poza tym, Siergieju Michajłowiczu, konieczny jest pokój jednoosobowy. Pacjent zabiera ze sobą robotę.

(– Służbową?)

– Nie, nie, jak by to wyglądało? Za twoimi plecami? To praca twórcza.

(– Znamy, znamy taką pracę twórczą. Dobra, coś się wymyśli. A jak ten twój człowiek, lubi wypić? Czy to wędkarz? A może by zapolował?)

– Siergieju Michajłowiczu, to młoda kobieta...

Widząc, jak twarz Pączka gwałtownie czerwienieje, jak nabiega krwią nawet łysina, Nastia domyśliła się, co powiedział jego rozmówca. Cóż, można faceta zrozumieć, nie chce poświęcać czasu i wysiłków ani własnych, ani swych podwładnych na urządzenie w sanatorium czyjejs

kochanki. No bo kim może być kobieta, za którą wstawia się szef Moskiewskiego Wydziału Kryminalnego, jeżeli oczywiście nie jest jego kuzynką? Kim, jak nie kochanką któregoś z jego przyjaciół albo nawet jego samego? Bo przecież nie koleżanką z pracy! Koń by się uśmieł!

- Żarty się ciebie trzymają, Siergieju Michajłowiczu
- powiedział drewnianym głosem Gordiejew. - Zadzwoń do ciebie, jak będzie już miała bilet. Umowa stoi?

Kiedy Nastia kupiła bilet na pociąg, Wiktor Aleksiejewicz jeszcze raz zadzwonił do Miasta, znajomego nie zastał i przekazał informację dyżurnemu. Nastia nie miała żadnych wątpliwości, że nikt po nią nie wyjdzie na dworzec. Tak też się stało.

Pobladała z bólu, z trudem stawiając nogi, dotarła do recepcji sanatorium. Urzędniczka była uosobieniem uprzejmości, ale kiedy Nastia poruszyła kwestię pokoju jednoosobowego, kategorycznie odmówiła.

- Pokoi jednoosobowych jest mało, rezerwujemy je tylko dla inwalidów, kombatanów, weteranów z Afganistanu. Niestety, nic nie mogę dla pani zrobić.

- A czy można kupić skierowanie bezpośrednio tutaj?
- spytała Nastia, która była gotowa na wszystko, byle tylko jak najszybciej się położyć.

- Oczywiście. - Recepcjonistka szybko spojrzała na Nastię i natychmiast odwróciła wzrok, wbijając go w książkę meldunkową.

„Wszystko jasne” - pomyślała Nastia i powiedziała głośno:

- Proszę mi sprzedać jeszcze jedno skierowanie i zajmę sama pokój dwuosobowy. Można tak zrobić?

- Proszę bardzo. - Recepcjonistka wzruszyła ramionami, jak wydało się Nasti, z niejakim napięciem i otworzyła stojący na biurku sejf.

Nastia bez słowa wyjęła pieniądze i położyła je na otwartej książce meldunkowej.

- Może pani nie wypisywać skierowania – powiedziała cicho. – Proszę tylko zaznaczyć w książce, żeby nikogo mi nie dokwaterowano.

Znalazłszy się w pokoju, nie rozbierając się, padła na łóżko i bezgłośnie się rozplakała. Krzyż bolał ją potwornie, pieniędzy zostało tyle co nic. A poza tym czuła się w jakiś sposób upokorzona.

Recepcjonistka rzetelnie odpracowała otrzymaną łapówkę. Dostrzegła chorobliwą bladość Nasti i już po półgodzinie do pokoju zapukał lekarz. Natychmiast zauważył i wielką torbę, porzuconą na środku pokoju, i zaczerwienione od łez oczy, i tabletki przeciwbólne na nocnym stoliku.

- No i co pani sobie myśli? – mówił z wyrzutem, badając puls i oglądając posiniąte dłonie Nasti. – Jak można dźwigać takie ciężary, wiedząc, że jest się chorą? Krążenie ma pani w strasznym stanie. Czy pani pali?

- Tak.

- Od dawna? Dużo?

- Od dawna. Dużo.

- Pije pani?

- Nie. Tylko wermut, ale bardzo rzadko.

- Jak pani na imię?

- Anastazja. Ale proszę mi mówić po prostu Nastia.

- Ja jestem Michaił Pietrowicz, bardzo mi miło. A więc, Nastiu, proszę wybrać, co będziemy leczyć najpierw: krążenie czy kręgosłup?

- A jednocześnie nie można?

- Nie da się. – Pokręcił siwiejącą głową. – Na kręgosłup zastosujemy borowinę, masaż, ćwiczenia – głównie bieżnię i gimnastykę w basenie. To zajmie około pięciu godzin dziennie, jeżeli potraktuje pani rzecz poważnie. A pani, o ile zrozumiałem, chce jeszcze pracować? – Wskazał brodą maszynę do pisania. – Na leczenie krążenia nie zostanie już czasu. Więc proszę wybierać.

– Będziemy leczyć kręgosłup – zdecydowała stanowczo Nastia.

Obsługa w sanatorium istotnie była na poziomie: uwzględniając stan zdrowia Nasti, wszystkie badania, bez których nie sposób było rozpocząć kuracji, przeprowadzono bezpośrednio w numerze (w „Dolinie” tak nazywano pokoje). Przyszła pielęgniarka i pobrała krew do analizy, następnie zrobiono Nasti EKG. Po jakichś dwóch godzinach, kiedy wyniki były już gotowe, wpadła wesoła młoda śmieszka – neurolog – i, narzekając na „potwornie zaniedbane” krążenie, przepisała lekarstwo. Później przyszedł starszy internista, a na końcu, tuż przed kolacją, zjawił się lekarz prowadzący Michaił Pietrowicz, wypisał zalecenia i szczegółowo Nastię poinstruował. Na odchodnym powiedział:

– Dziś proszę odpoczywać, kolację przyniosą pani do numeru. Przed snem przyjdzie siostra i da pani zastrzyk przeciwbólowy. Jeżeli rano zdoła pani wstać, zaraz po śniadaniu proszę iść na basen, instruktorka ma na imię Katia, niech jej pani powie, że zapisałem zestaw ćwiczeń numer cztery. Ćwiczyć należy co najmniej dwie godziny, jasne? Wszystko to zapisałem w książeczce zabiegów.

I oto nazajutrz, po ćwiczeniach w basenie, Nastia maszerowała pilnie na bieżni, zaliczając zalecone kilometry, i próbowała jako tako uporządkować myśli. Musiała odpowiedzieć sobie na trzy pytania.

Pytanie pierwsze: czy małżeństwo matki, Nadieždy Rostisławowny, z ojczymem Nasti rozpadło się definitywnie? I jak do tego podchodzi sama Nastia? W przeddzień wyjazdu córki do sanatorium matka zadzwoniła ze Szwecji, gdzie pracowała od dwóch lat, zaproszona przez jeden z tamtejszych uniwersytetów, i powiedziała, że zaproponowano jej przedłużenie kontraktu jeszcze na rok i że się zgodziła. Najwyraźniej matka niezbyt tęskni za mężem i córką. Ale i ojczym, Leonid Pietrowicz, przyjął tę nowi-

nę ze stoickim spokojem; widocznie przyzwyczał się już, że żony tak jakby nie miał. Wyglądał młodo, świetnie się trzymał, był przystojny, status słomianego wdowca wcale mu nie doskwierał – i Nastia o tym wiedziała. Najbardziej zdumiewała ją własna reakcja na tę sytuację: matka jeszcze przez rok (a może i więcej, jeżeli jeszcze przedłużą jej kontrakt) będzie poza domem, ojcym na własną rękę urządzi swoje życie osobiste, a jej, Nasti, nic to nie obchodzi, jak gdyby tak właśnie powinno być, jak gdyby wszystko było w porządku. Ona nie tęskni za matką. Ojcym radzi sobie bez żony. Rodzina się rozpadła. A Nastia nie odczuwa bólu. Dlaczego? Czyż naprawdę jest pozbawiona uczuć rodzinnych? Czyż naprawdę jest taka oschła?

Pytanie drugie: dlaczego ona sama nie wychodzi za mąż? Nastia wiedziała doskonale, że tego nie chce. Ale dlaczego? Loszka gotów ją poślubić w każdej chwili, są ze sobą już ponad dziesięć lat, mieszkają jednak osobno i jej jest to na rękę. Dlaczego? To przecież nienaturalne.

I wreszcie pytanie trzecie. Wczoraj dała łapówkę. Tak, tak, nazywajmy rzeczy po imieniu, dokonała czynu karalnego. I co? Czy jest jej wstyd? Ani trochę. Czuje tylko niesmak. Anastazja Kamińska, starszy oficer operacyjny milicji kryminalnej, magister prawa, major, wcale się tego nie wstydzi. Co się z nią dzieje?

„Jestem emocjonalnym monstrem – ze smutkiem myślała Nastia, przemierzając ścieżkę bieżni – jestem potworem pozbawionym normalnych ludzkich uczuć”.

W Mieście, w którym znajdowało się sanatorium „Dolina”, panowały spokój, ład i harmonia. Rozkwitała prywatna przedsiębiorczość, ceny w sklepach komercyjnych były umiarkowane, przestępczość w porównaniu z resztą kraju wydawała się śmiesznie niska. Komunikacja działała

bez zakłóceń, drogi były dobrze utrzymane, mer Miasta dotrzymywał obietnic składanych obywatelom. A cały ten raj na ziemi zapewniał człowiek bardzo potężny – Eduard Pietrowicz Denisow.

Eduard Pietrowicz dawno zrozumiał, że w biznesie konieczna jest jeżeli już nie stabilna gospodarka, to przynajmniej stabilna władza. I skierował wszystkie swoje wysiłki, po pierwsze, na to, by administracja miejska była stała i niezmienna, a po drugie, by struktura przestępcza pozostawała jednolita i całkowicie pod kontrolą.

Denisow potrafił czekać. Śmiał się z ludzi, którzy, inwestując jednego rubla, otrzymywali nazajutrz tysiąc procent zysku, jako że wiedział, iż za dwa dni sytuacja się zmieni, ludzie ci zysk przejedzą, a następnego już nie będzie. Bez wahania wydawał pieniądze, inwestując je w przedsiębiorstwa zapewniające stabilność i nie zarabiając początkowo nic, był bowiem pewien, że później regularnie będzie otrzymywać dywidendy.

Pomagając władzom Miasta w zjednywaniu opinii publicznej, Denisow prowadził jednocześnie nieustępliwą walkę z grupami przestępczymi, usiłującymi podzielić Miasto na strefy wpływów. Jedne grupy przekupywał, z innymi się dogadywał, jeszcze inne oddawał w ręce milicji, a niektóre bezlitośnie niszczył. I wreszcie został absolutnym władcą Miasta. Teraz zaprosił do siebie kilku najinteligentniejszych i najbardziej obrotnych biznesmenów, dysponujących solidnym kapitałem, pochodzącym z przestępczej działalności gospodarczej.

– Przyjaciele – powiedział cichym głosem, ogrzewając w dłoniach lampkę koniaku – jeżeli nie macie na oku nic ciekawszego, proponuję, byście przenieśli się do Miasta, które obecnie jest świetnym miejscem do rozwijania biznesu. Administracja ma mocną pozycję i będzie was wspierać na wszelkie sposoby. Ludność jest życzliwie nastawiona do władz i bez względu na ewentualne

katakлизmy stanowiska z wyboru będą zajmować ci sami ludzie co teraz albo im podobni. Oni też zadbają o obsadzenie odpowiednimi osobami innych funkcji. Uprezdzam jednak: proponuję wam prowadzenie tylko czystych interesów. Żadnych brudów, żadnego bandytyzmu, przemytu, narkotyków, handlu dziełami sztuki. Organy wymiaru sprawiedliwości dziś są nasze. Ale jeżeli, nie daj Boże, coś się wydarzy, jutro zjawią się w Mieście ludzie z MSW. Kto wie, czego by się tu dokopali. A ja nie mam żadnej pewności, że uda mi się wpłynąć na nominacje nowych szefów milicji, prokuratury i sądu, gdyby obecnych odwołano. Włożyłem wiele wysiłku w to, by stworzyć w Mieście stabilną władzę, i nie pozwolę, by ktoś jej zagroził. We wszystkich pozostałych kwestiach macie pełną swobodę działania, ale bez konkurencji. Bo konkurencja to walka, a walka to metody siłowe, także przestępcze, co, jak już powiedziałem, jest niedopuszczalne. Na to mogę sobie pozwolić tylko ja, i to w mocno ograniczonym zakresie, zresztą dla waszego dobra. Ci z was, którzy są gotowi przyjąć moje zaproszenie, muszą się porozumieć najpierw tu, przy tym stole. I rzetelnie przestrzegać tych porozumień.

– Hm, tak, a jaka jest pańska rola, Eduardzie Pietrowiczu? – spytał zwalisty Achtamzjan, poprawiając okulary. – Czy pan wybrał już sobie sferę działania?

– Nie. – Denisow uśmiechnął się, popijając małymi łydkami koniak. – Ja w tym podziale nie uczestniczę. Zapewniam panom bezpieczeństwo w waszych poczynaniach, a wy za to utrzymujecie mnie i mój aparat.

– A jeżeli żaden z nas się nie zgodzi? – drażył nieustępliwie Achtamzjan. – Czym pan się wtedy zajmie?

Denisow wiedział, że Achtamzjan chce wyniuchać, jaka sfera działalności w Mieście rokuje największe zyski. Uśmiechnął się.

– Niczym. Po prostu zaproszę innych. Na tych samych warunkach.

Od tamtej pory minęły prawie trzy lata. Denisow odsunął się całkowicie od działalności komercyjnej, zajmował się wyłącznie, jak mawiał, utrzymywaniem ładu w przestrzeni życiowej. Między innymi stanowczo żądał od swych podopiecznych czynnego udziału w przedsięwzięciach filantropijnych, które uważał za niezawodny sposób pozyskania sympatii mieszkańców dla ojców Miasta. Początkowo nie wzbudziło to zbytniego entuzjazmu. Z czasem jednak biznesmeni przekonali się, że ich przywódca miał słuszość.

Sprawą najtrudniejszą była ochrona Miasta przed napływem obcych, grających wedle własnych zasad. Rozkwit przedsiębiorczości, wysokie i stabilne zyski sprawiły, że Miasto stało się bardzo atrakcyjne dla różnego rodzaju ugrupowań oraz działających w pojedynkę aferzystów. Jedni usiłowali włączyć się do podziału już upieczonego tortu, inni próbowali otworzyć własny biznes, jeszcze inni – po prostu podskubać dobrze prosperujących macherów przy użyciu banalnego wymuszania haraczy. Denisow miał własny wywiad i kontrwywiad. Wywiad pilnował, by członkowie organizacji przestrzegali ustalonych zasad. Kontrwywiad walczył z intruzami.

Kilka miesięcy temu Denisow poczuł, że coś jest nie w porządku, choć nie bardzo wiedział, co mianowicie. Po prostu to wyczuł. Obudził się pewnego ranka i powiedział sobie: „W Mieście coś się dzieje”. Przez kilka dni analizował swoje wrażenia, nie doszedł do żadnego wniosku i wezwał szefów wywiadu i kontrwywiadu.

– Nie mam żadnych wiadomości, żadnej pewnej informacji. Tylko pojedyncze fakty. Jakieś dziwne pogłoski w środowisku miejskich prostytutek, że podobno niektórym powiodło się lepiej niż innym. W czym się powiodło? W ostatnim roku do Miasta trzykrotnie przyjeżdżali samo-

chodami jacyś ludzie i po dwóch dniach wyjeżdżali. Kim byli? Do kogo przyjeżdżali? Po co? Do nikogo z naszych się nie zwracali. A jeśli się nie zwracali, znaczy, że myśmy to przegapili, a któryś z naszych prowadzi nieczystą grę. I jeszcze jedno. Moja wnuczka Wiera. Byłem w szkole, rozmawiałem z nauczycielami. Wiecie, co powiedzieli? Że Wiera ostatnio zaczęła się uczyć o wiele lepiej. Słyszycie? Lepiej, nie gorzej, jak się spodziewałem, biorąc pod uwagę trudny wiek i fakt, że wyraźnie przestała słuchać rodziców. Szczególnie chwaliła ją nauczycielka rosyjskiego. Nawiasem mówiąc, przyznała mi rację, że z dziewczynką coś się dzieje. Bez względu na temat wypracowania zawsze usiłuje pisać o grzechu i cenie, jaką trzeba zań płacić. A ma dopiero czternaście lat.

- Narkotyki? - Niewysoki, tłuściutki Starkow, szef wywiadu, podniósł głowę.

- Możliwe. Bardzo możliwe. Być może wszystko, co tu powiedziałem, zupełnie się ze sobą nie wiąże. Może w Mieście nie ma żadnych narkotyków. Ale tak czy owak, chcę wiedzieć, co jest grane.

Pierwsze informacje napłynęły po dwóch tygodniach. Okazało się, że miejskie prostytutki, którym się „powiodło”, znalazły jakąś lekką, dobrze płatną pracę za granicą i opuściły Miasto. Dokąd wyjechały - nie wiadomo. Jacyś ludzie przyjeżdżali samochodami do sanatorium „Dolina”, gdzie wynajmowali na parę dni jednopiętrowe pawilony, zażywali kąpeli w saunie, pili wódkę i zadowoleni wyjeżdżali. Dziwne jednak było to, że ci ludzie, sądząc ze wszystkiego, przyjeżdżali co prawda jednocześnie, ale nie razem. Byli z różnych miast i z reguły się między sobą nie znali. Chłopak, który obsługiwał ich w saunie, ani razu nie słyszał, żeby zwracali się do siebie na „ty”. Co się zaś tyczy wnuczki Denisowa, Wieroczki, to po prostu się zakochała. Przeżywała namiętny romans ze studentem instytutu pedagogicznego, który odbywał praktykę

w szkole i uczył chemii oraz biologii. Informatorzy utrzymywali, że student zachowuje się przyzwoicie i nie przekracza dozwolonych granic.

Denisowa jednak to nie uspokoiło. Umówił się z psychologiem i poprosił go o radę.

– Czy dzisiejsza czternastolatka może uważać miłość za grzech, który należy odpokutować? – zapytał wprost Eduard Pietrowicz, który nie lubił niczego owijać w bawełnę.

– Oczywiście, może, jeżeli była niewłaściwie wychowywana.

– Co to znaczy „niewłaściwie”?

Psycholog wyjaśnił szczegółowo, co ma na myśli. Dowiedziawszy się, że syn Eduarda Pietrowicza i jego żona są ludźmi całkowicie normalnymi, córkę wychowywali właściwie i w ich rodzinie nie zdarzały się żadne ekscesy, które mogłyby zachwiać psychiką dziewczynki, powiedział:

– Mogę panu to wyjaśnić, pod warunkiem że da mi pan słowo, że nie zacznie pan krzyczeć: „To niemożliwe, jak pan śmie!”

– Daję słowo.

– A oto wyjaśnienie – niekonwencjonalny seks, zбочenia seksualne.

– Ależ co pan! – oburzył się Eduard Pietrowicz. – Gdyby ją pan widział... Krucha, delikatna, włosy jasne jak len, dziecinna buzia. Ma czternaście lat, a wygląda zaledwie na dwanaście. Wiera to istota absolutnie niewinna, jak niemowlę. Gdyby pan podejrzewał narkotyki, mógłbym się zgodzić. W końcu za pierwszym razem ktoś mógłby jej podsunąć tę truciznę podstępem albo nawet przemocą, a potem po prostu stałaby się niewolnicą tego świństwa. Potworne, ale przynajmniej wytłumaczalne. To, o czym pan mówi, robi się świadomie i dobrowolnie. Nie, to absolutnie wykluczone, po prostu niemożliwe!

- Dał mi pan słowo - przypomniał z wyrzutem psycholog.

- Przepraszam... Dziękuję za konsultację. Oto pańskie honorarium. - Eduard Pietrowicz położył na biurku kopertę i wyszedł.

Był bardzo niezadowolony z wizyty. Wracając do domu, myślał o tym, że na najbliższej radzie trzeba będzie zaproponować ufundowanie na miejskim uniwersytecie specjalnego stypendium dla studentów psychologii. Może to sprawi, że zaczną się pilniej uczyć. Obecny poziom przygotowania specjalistów Eduard Pietrowicz uznał za skandaliczny.

Niebawem nastąpił pierwszy alarmujący incydent. Do szpitala miejskiego trafił z pęknięciem podstawy czaszki Wasilij Gruszyn, który na polecenie szefa wywiadu Starkowa sprawdzał szczegóły imprezek w pawilonach sanatorium. Gruszyn, przywieziony w bardzo ciężkim stanie, po operacji nie odzyskał przytomności. Kiedy na kilka minut przyszedł do siebie, była przy nim tylko pielęgniarka.

- Niech pani zapisze... telefon... - wyszeptał Gruszyn, z trudem poruszając ustami. - Powie... nazwisko Makarow... Zadzwo... ni...

- Proszę się nie denerwować, zadzwonię - uspokajająco obiecała siostra i pobiegła po lekarza.

Dziesięć minut później Gruszyn zmarł.

- Myśli pan, żeby zadzwonić? - spytała siostra, obracając w palcach kartkę z numerem telefonu.

- Jak pani chce. - Doktor Wdowienko wzruszył ramionami. - Za to na milicję zadzwoniłbym na pewno. To sprawa kryminalna, sama pani rozumie. Albo proszę powiedzieć śledczemu, wczoraj siedział tu cały dzień, czekając, aż Gruszyn odzyska przytomność. Dzisiaj znowu ma przyjść.

- Dobrze. - Dziewczyna westchnęła i podniosła słuchawkę.

- Co się wyprawia w Mieście? - gniewnie pytał Denisow siedzącego przed nim mężczyznę. - Pytam pana, co to za organizacja, która pozwala sobie zabijać moich ludzi? Skoro się posunęli aż do tego, znaczy, że Gruszyn dotarł do czegoś bardzo ważnego. Co takiego dzieje się u nas, o czym nic nie wiemy? Jak pan może to wyjaśnić?

- Jesteśmy tylko ludźmi, Eduardzie Pietrowiczu - spokojnie odrzekł rozmówca. - Gdybyśmy wiedzieli wszystko o wszystkich, nie byłoby problemu walki z przestępczością. Czemu właściwie tak się pan zdenerwował? Przecież nie po raz pierwszy traci pan ludzi.

- Ale zawsze wiedziałem, dlaczego ich tracę i kto jest temu winien, nawet jeśli pan o tym nie wiedział. A teraz nie panuję nad sytuacją i to mnie bardzo niepokoi. Jak rozumiem, nie ma żadnych szans na wykrycie sprawy?

- Minimalne - potwierdził rozmówca, rozkładając ręce.

- Oczywiście - przyznał Denisow. - Nazwisko Makarow to żadna poszlaka. Równie dobrze mógłby być Iwanow czy Sidorow. Nie mamy czasu sprawdzać wszystkich Makarowów w Mieście. Zwłaszcza że, biorąc pod uwagę inwazję przybyszów z innych miast, ten Makarow może wcale nie być tutejszy. Co pan jest w stanie mi zaproponować?

- Tylko jedno. Posłać człowieka do „Doliny”. Niech tam siedzi i może uda mu się dowiedzieć, kto zacz ten Makarow.

- Ma pan kogoś odpowiedniego?

- Chyba pan żartuje. Moich ludzi można policzyć na palcach. Mógłbym kogoś oddelegować na tydzień, dwa, ale nie dłużej. I tak nie mam kim pracować.